

ZBYT GORLIWY KOCHANEK

Gdy roztargniony archeolog ucieka z żoną amerykańskiego doktora, czyni to posługując się łazikiem tegoż doktora, w biały dzień, przed południem. Ponieważ jest roztargniony, jedzie wprost na pustynię, i mała pani bliska jest wołania o pomoc, lecz powstrzymuje się, bo to jednak brzmiałoby głupio. Mimo że tak roztargniony, archeolog nie zapomniał jednak uprzednio wyjąć świec ze wszystkich samochodów w całym mieście Kirman, co poszło szybko, bo samochodów w Kirman jest niewiele i wszystkie stoją zaparkowane w karawanseraju.

Tak wprost na pustynię nie można jednak wyjechać, bo pustynia nie zaczyna się tuż pod Kirmanem. Wybiera więc zwyczajną drogę przez Bam, wciska pedał aż do oporu i jedzie pełnym gazem.

Poranek jest czarowny. Trochę nocnego chłodu przetrwało jeszcze w powietrzu, którego podmuch czuje się za szybą samochodu, choć słońce już pali. Pokrywająca ziemię roślinność zwiędła, lato jest w pełni. Po obu stronach drogi wznoszą się strome fałdy, góry, które ongiś były przylądkami i szkierami na jakimś morzu.

Ona kładzie dłoń na jego ramieniu.

— Piotr będzie okropnie zły — mówi. — I smutny — dodaje po chwili. — I niespokojny.

Ukośne światło poranne oświetla falujące karby gór, wydobywa i obnaża ich ogromną, nieopisaną nagość. Góry suchej strefy nie mają przepaski lasów wokół bioder ani ptaków na piersiach. Żaden jeleni nie pasie się tu w leszczynie. Tu góry są nagie i nagość ich jest zupełna,

zadziwiająca, nieuleczalna. Królestwo kamienia. W kamieniach odbija się słońce, w zmaganiach dnia z nocą rozsadza je na proch; ciężkie zasy piargów gromadzą się u stóp gór.

Nie spotykają po drodze nikogo. Gdy zbliżają się do Bam, on dodaje jeszcze gazu. W Bam jest bowiem telegraf, a można przypuszczać, że naczelnik policji w Kirman nie był rano w najlepszym humorze. Wóz zarzuca trochę na wirażu. Archeolog nie ma zbyt wielkiej wprawy w prowadzeniu samochodu, ale przy tak dużej szybkości tego nie widać.

— Naciśnij klakson! — komenderuje, gdy jakieś dziecko wybiega na drogę.

Łazik pędzi z rykiem przez główną ulicę Bam. Przy posterunku wzniesiono barykadę z kawiarnianych ławek. Żołnierz stoi na środku barykady i daje sygnał, żeby się zatrzymali. Pięciu innych żołnierzy wybiega z pobliskiej kawiarni, nawołując i wymachując karabinami.

Archeolog kieruje wóz między dwie ławki i nie hamuje.

— Zaprzyj się nogami! Zaprzyj się!

Uderzenie ciska ich oboje na tablicę rozdzielczą. Ale wóz przebija się na drugą stronę barykady. Żołnierz stojący na barykadzie trochę za późno odskoczył. Gdy koledzy do niego podbiegają, tarza się po ziemi. Łazik mknie dalej.

Pada strzał.

— Pewnie tylko na postrach — mówi mała pani z niepewnym optymizmem, bo uważa, że sprawa przybiera dość kiepski obrót... — Piotr musiał chyba telegrafować, że nie wolno im do nas strzelać?

— Na pewno — zgadza się mężczyzna — ale nie można na tym polegać. Czy to wiadomo, jak oni celują?

Więcej strzałów nie pada. Poczciwy Piotr z pewnością telegrafował. Krzyczący żołnierze znikają za węglem muru. Mur znika za innymi murami. Dachy Bam znikają w dali.

— Jedziemy teraz do Beludżystanu — powiada on.

Istnieje z pewnością wiele sposobów zdobycia kochanej kobiety. Wyjechanie z nią do Beludżystanu to może jeden z rzadziej stosowanych. Ale cóż, z jednej strony miłość nie

cofa się przed stwarzaniem sobie trudności. Z drugiej zaś Beludżystan nie leży zbyt daleko od Kirman.

— Gdybyś mnie uprzedził — mówi ona — mogłabym zabrać z sobą coś na zmianę. Przydałaby mi się także ta żółta plisowana sukienka. I czerwona apaszka.

— Kupimy wszystko w Quetta — odpowiada on. — W Quetta jest też doskonały hotel. Bardzo przyjemny.

Mogą teraz jechać wolniej. Na tylnym siedzeniu leży paliwo, prowiant i zapas wody na tydzień. Do granicy można dojechać w ciągu jednej doby. Znajdują się teraz na otwartym terenie.

Na wschodzie rozciąga się suche morze.

Samotny łązik z trzaskiem zjeżdża w ocean powietrza. W powietrzu jest cisza. Powietrze migocące na płaskim żwirze. Na widnokręgu tworzą się srebrzyście mieniące się smugi. W miarę jak słońce podnosi się na niebie i ziemia rozgrzewa, smugi zlewają się w zatoczki i jeziora, i wciąż im się zdaje, że wóz wjeżdża w płytką wodę, a fale zaczynają pluskać o chłodnicę. Ale nim chłodnica zdąży ją roztrącić, woda cofa się, tylko suchy żwir trzeszczy pod oponami, ziemia spalona nieugaszonym pragnieniem. W dali widać sznur wielbłądów brnących po kolana w tym dziwnym jeziorze, które stale jest tam, gdzie ciebie nie ma.

— Jest coś zdradliwego w tej pustyni — mówi ona — nie można jej ufać.

— Nic nie szkodzi — odpowiada on. — Nie jedziemy za fatamorganą, jedziemy za śladami kół.

Na dnie morza leży sól. Zebrała się w najgłębszych częściach morskiego basenu, tworząc utrudniające komunikację pasma. Po wypalanej na twardo glinie jedzie się jak po ceglanej podłodze. Piasek może powodować trudności. Ale sól jest najgorsza.

Upał zaczyna być dokuczliwy. Słońce stoi wysoko i mała pani chce zrobić południową sjęstę. Ale mężczyzna sprzeciwia się. Nieco dalej będzie trudna przeprawa, no i nie wiadomo przecież, czy nie wysłali za nimi w pościg samochodu z Kirman. Wtedy znaleźliby się w tym niebez-

piecznym miejscu jak myszy w pułapce. Chodzi o to, aby mieć już tę niebezpieczną przeprawę za sobą.

Mijają starą latarnię. W dawnych czasach płonął na jej szczycie ogień wskazujący karawanom drogę do Zahidanu.

Świeże powiewy za szybą samochodu przemieniły się z rozedrgany żar. Gdy temperatura podnosi się powyżej 50° C, nie pragnie się tego rodzaju powiewu. Zdmuchuje on tę odrobinę chłodu, którą wydzielają nasze własne ciała.

Mała pani wypija litr wody na godzinę, silnik dwa litry. Chłodnica tryska jak gejzer. Bardzo często samochód musi stawać, archeolog wyskakuje z wozu, podnosi maskę, dolewa wody do chłodnicy, chłodzi ją, puszcza w ruch wentylator. Woda syczy i wrze na rozgrzanych płytkach, a wentylator rozpryskuje ją w tył, do wnętrza wozu. Kobieta zaczyna odczuwać zmęczenie.

— Przydałyby mi się okulary od słońca — jęczy.

Nie powinna naturalnie narzekać. Coś niecoś można chyba znieść dla miłości. Trudną się jednak nie zastanawiać nad tym, czy nie dałoby się tego wszystkiego urządzić prościej. Czy nie można by uzgodnić tej sprawy przedtem? Wprawdzie ogromnie romantycznie jest w taki sposób uciekać przez pustynię i tak dalej, a hotel w Quetta ma być taki przyjemny, ale powinno się chyba popробować najpierw spojrzeć trochę realistyczniej na sytuację. To, że się ludzie zakochują, nie jest przecież samo w sobie niczym aż tak bardzo oryginalnym czy wyjątkowym, zwłaszcza w takiej małej dziurze jak Kirman, gdzie wszyscy się znają i dosłownie tworzą jedno stado, i to dorośli ludzie, którzy zdążyli już trochę się znudzić swoimi starymi i drogimi partnerami seksualnymi — archeolog nie jest wprawdzie żonaty — ale w każdym razie zrównoważeni dorośli ludzie, którzy wiedzą coś niecoś o życiu i o tym, jak to zwykle bywa w tych sprawach, o ile o tych sprawach można coś wiedzieć.

Szaleństwo też musi mieć jakąś miarę, nieprawdaż? Podobnie jak wszystko inne. Zbyt małe szaleństwo to niedorzeczność, człowiek jest przecież tylko człowiekiem,

nie wykręci się od tego, nawet gdyby chciał, i za swoje zbyt małe szaleństwo może potem pokutować przez całe życie, jeśli wszystko źle pójdzie. Ale zbyt wielkie szaleństwo to też niedorzeczność, dla każdego chyba oczywista. Sztuką jest naturalnie zachować umiar, może to nie zawsze bywa łatwe, trzeba się jednak starać w miarę swoich możliwości.

Ona, choć wypija litr wody na godzinę, wciąż ma pragnienie, twarz jej błyszczy jak świeżo przekrojony arbuz, jest tylko brudniejsza.

— Nie pij tyle — mówi on — pocisz się od tego, a pył i sól osiadają na spoczonej skórze, co jest nieprzyjemne. Prawdziwy wyga pustynny pije bardzo oszczędnie.

Ale słowa jego padają jak ziarno na opokę.

— Jestem tak spragniona, że chyba umrę — mówi ona. I nie podejmuje najmniejszego wysiłku, by upodobnić się do prawdziwego wygi pustynnego.

Wreszcie docierają do tej trudnej przeprawy. Sól leży tu głębokimi, grząskimi warstwami przykrytymi twardą skorupą. Mimo że temperatura tuż przy ziemi dochodziłaby tu do 60°—70° C nawet w cieniu — oczywiście gdyby istniał tu jakiś cień — sól zachowuje wilgoć. Górna warstwa wysycha na twardą białą skorupę, ale pod spodem znajduje się miękka, przypominająca śnieżną kaszę papka solna. W takim terenie przepadały całe armie z końmi, słoniami, wozami wojennymi i sztandarami, tak opowiada kronikarz, mówi o tym, jak to wojownicy szli brnąć i ślizgając się w błocie, pod palącym żarem słońca, a ich strzały grzęzły w szlamie, a ich łuki tonęły w mule.

Skorupa może w niektórych miejscach udźwignąć mężczyznę. Wielbłądy i pojazdy zapadają się. Łazik jedzie po niej, a skorupa trzeszczy pod kołami, potem nagle załamuje się — cmok!... samochód zapada się i grzęźnie.

Mężczyzna wyskakuje z wozu. Wyciąga z tylnego siedzenia łopatę i cztery mocne deski. Kobieta chwytą za kierownicę. On zaś podkopyje koła, podkłada deski, a potem jedzie się ostrożnie, dopóki deski starczy. Gdy deska się skończy, trzeba pobiec za wóz, zabrać dwie pozostałe deski,

podłożyć je pod przednie koła i dalej jechać w taki sam sposób. Żadna to przyjemność taka bieganina w słońcu.

— Ta okolica nazywa się Sjur-i-gaz — mówi on. — Słona Pustynia Tamaryszków. Piękna nazwa. Oczywiście żaden tamaryszek nie rósł tu w ciągu ostatnich dziesięciu tysięcy lat, ale człowiek ma dziwną zdolność nietracenia nigdy nadziei.

Roztargniony archeolog jest bardziej zacięty, niż by można sądzić po jego wyglądzie. Wprost nie do wiary, ile wykazuje wytrzymałości! Kobieta za kierownicą podziwia pewnie jego sprawność. Niemożliwe chyba, żeby uważała, że wysila się on niepotrzebnie, niemożliwe chyba, by uważała, że nie warto było się dla niej wysilać, tak sądzą o sobie tylko osoby bez ambicji. Ale może naturalnie litować się nad jego męką, może naturalnie uważać, że przy odrobinie talentu dyplomatycznego sprawę można było zorganizować lepiej i sprężyć się. Dlaczego nie porozmawiał z nią bardziej wyczerpująco wcześniej? Czy rzeczywiście koniecznie musieli opuścić Kirman? Poczciwy Piotr nie należy do ludzi, którzy robiliby niepotrzebne awantury, jest bardzo rozsądny, akceptuje życie takim, jakie jest, i nie żąda, aby było ono takie, jakim nie jest, a poza tym ma zmysł humoru. Sprawa mogłaby się rozwijać w Kirman, dyskretnie i oględnie, wtedy można byłoby czekać spokojnie na to, co przyniesie czas i uczucia.

W każdym razie to nie jej wina. To doprawdy nie ona doprowadziła swego kochanka do dźwigania desek na Słonej Pustyni Tamaryszków. Naprawdę doświadczony i pewny siebie mężczyzna nie potrzebowałby się uciekać do tak skrajnych środków, aby udowodnić swoją męskość. Prawdziwy mężczyzna, silny w swojej męskości jak dęby na Elbrusie, ba, jak cyprysy na Demavend, wśliznąłby się do jej sypialni przez okno o północy i wymknął tą samą drogą o piątej rano. Oto jakby postąpił prawdziwie doświadczony i męski kochanek. Ten zaś chłopak, z jego dynastiami Sassanidów, zmurszałymi grotami strzał i liczącymi trzy tysiące lat glinianymi skorupami, miał widać powody, żeby czuć się mniej pewnym siebie. Gdyby tak

można mu było wytłumaczyć, że to nie gra znowu aż tak wielkiej roli. Że doprawdy nie musi tak się trudzić, by się w taki sposób zrehabilitować. Ale on tego nie rozumie. Poglądy mężczyzny na erotykę są tak żałośnie ciasne. Mężczyzna nigdy nie potrafi wyjść poza mentalność trzylatka: „kto dalej nasusia, ten lepszy”. To oczywiście wzrusza i silnie pobudza macierzyńską cząstkę seksualizmu kobiety, ale czasem jest to jednak irytujące.

Archeolog podkopyje się pod koła, kopanie to jego zawód, ma teraz okazję zastosowania swych zawodowych umiejętności. Samochód ześliznął się z desek i im gorliwiej archeolog kopie, tym głębiej wóz grzęźnie. Koła kręcą się w bryi, zaczepiają, ale nie znajdują oparcia, ślizgają się, rozbryzgują solną papkę, wrzynają się coraz głębiej, aż wreszcie grzęzną na dobre, do dia... teraz na dobre utknęliśmy w tym paskudztwie.

— Musimy wyładować kanister z wodą z tylnego siedzenia, ciężki jak cholera, a także resztę gratów, i trzeba teraz manewrować wozem z zewnątrz, a my oboje musimy pchać. Nie możemy tu tkwić aż do śmierci.

Kanister z wodą daje się wyładować bez trudu, wcale nie jest ciężki jak cholera, waży nie więcej niż próżna beczułka. Przy dolnym brzegu, tuż nad dnem, widać małą okrągłą dziurkę — otwór po kuli.

Także kanister do napełniania chłodnicy jest prawie pusty. Gdyby mieli wodę, mogliby tu siedzieć spokojnie przez dwa tygodnie, zwłaszcza że motor już by jej nie używał. Na pewno nim tydzień by minął, przechodziłaby tędy jakaś karawana do Zahidan albo stamtąd. Oprócz tego byłby czas na wydobycie wozu, a woda z chłodnicy starczyłaby na dalszą jazdę. Gdyby tylko mieć wodę! Lecz mają teraz tylko tę resztę w chłodnicy.

Pocziwy Piotr wyruszył może za nimi w pościg. Ale nie można się na to spuścić. Regularna karawana przejdzie tędy może już jutro. Ale co będzie, jeśli przyjdzie dopiero za osiem dni? Wtedy będzie o siedem dni za późno.

Spuszczają wodę z chłodnicy do butelek, które umieszczają w możliwie najchłodniejszych miejscach. Następnie

kładą się na tylnym siedzeniu, aby zażyć trochę spóźnionej sjesty. Pragnienie mogłoby poczekać z nachodzeniem ich, ma ich przecież i tak w swej mocy. Ale pragnienie nie czeka.

Po drugiej stronie Sjur-i-gaz, gdzie nagie góry znowu dźwigają się z pustynnego morza, powinno się znajdować źródło. Niedaleko stąd od tego miejsca. Właśnie tam, gdzie spieniona, mętna woda rzeki miesza się z rozkołysanymi, jasnymi wodami morza — jeśli oczywiście jest jakaś woda w rzece — wykopano i ocembrowano źródło. Droga przebiega opodal, biegnie dalej w górę suchego dna rzeki, nie trzeba było drogi budować, wysadzając kamienie w powietrze, jedzie się po dnie, między skałami. Rosną tam tamaryszki.

Słońce zachodzi o siódmej w najczerwieńszej czerwieni. Ale ziemia dalej wypromieniowuje ciepło niby brudne, ślepe antysłońce.

Czekali na zachód. W czarnawoczerwonym zmierzchu wyruszają. Idą stosunkowo szybko. To niedaleko stąd.

Idą na wschód, a cień od księżyca depcze im po piętach. Księżyc jest niemal w pełni. Bez księżyca nie udałoby im się znaleźć śladu.

— A widzisz, mogliśmy mieć gorszego pecha!

Wędrują przez krajobraz, w którym nic nie wskazuje na to, czy idą naprzód, czy drepcą w miejscu, czy też cofają się. Gwiazdy stoją bez ruchu nad ich głowami. Cień od księżyca kurczy się, to znów rośnie. Jeszcze żadnej pewności, że się trochę posunęli naprzód.

Zrobiło się zimno. Próbują przyspieszyć kroku i rozgrzewają się zabijając rękami. Ziemia jest gliniasta, wypalona słońcem, wymieciona przez wiatr, bez jednego pagórka, bez jednego wzniesienia. Trudno dostrzec ślad. Jest trzecia. Księżyc zachodzi.

Dwie godziny odpoczynku. Wyciągają się na ziemi. Nie potrzebują długo szukać miejsca na nocleg i wahać się z wyborem, bo nie ma tu miejsca, które by choć odrobinę różniło się od jakiegokolwiek innego miejsca, ani też kierunku, który by różnił się od innego kierunku, chyba tylko

układem gwiazd na niebie. Nie potrzebują się kryć ani chować, bo nie zakłóci im spokoju niedźwiedź, nie zbudzi ich wilk, ba, nie utnie ich mrówka, nie załaskocze źdźbło trawy. Mogą spać spokojnie.

O łagodnym świtanu idą dalej. Słońce wschodzi, nic go nie może powstrzymać. Stopy ich zapadają teraz w piasek. Lekki podmuch wiatru zdmuchuje piasek z wierzchołków wydm. Już niedaleko.

— Spróbuj nie zwilżać językiem warg! Pękają! Oddychaj przez nos! Próbuj dotrzymać tempa! Nie wolno nam stawać! Nie wolno nam zwlekać!

— Patrz!

W miejscu, gdzie sucha rzeka wpada na równinę, tamarzki odbijają się w srebrzyście jasnym jeziorze. Gdy podchodzą bliżej, jezioro rozplywa się i znika, ale tamarzki stoją dalej jakby cudem. Mężczyzna podchodzi do źródła.

Po drugiej stronie góry, po drugiej stronie przełęczy, tam, dokąd droga prowadzi korytem rzeki, leży mała wioska. Biedna i niepozorna wioska z kilkoma palmami daktylowymi za glinianym murkiem. Ale ma ona studnię. To niedaleko stąd.

Źródło, które nie wysycha.

Gdy ona nie ma już siły, aby iść dalej, on chce ją nieść. Usta jej są jak szczelina w wysuszonej ziemi. Słońce stoi wysoko. Tamarzki i skały tańczą. Ona gładzi jego dłoń.

— Chłopcze mój — szepce — tyle sobie robisz zachodu.

Dzwonki, dzwonki wielbłądów. Wysoko, wysoko pod niebem kołyszą się powieki wielbłądów. Dumne zwierzęta ledwie dają się skłonić do zrobienia małego kroku w bok.

Przełożył Zygmunt Łanowski